

Od autora: Tekst może być czytany jako odrębne opowiadanie lub jako kolejna część przygód bohaterki "Turbacza". Miłej lektury:)

„Panienki w lesie”

Długo nie trzeba było czekać na kolejną wyprawę Julity Kolanko. Niespokojna dusza gnała ją w świat, ku nowym wrażeniom, nieodkrytym miejscom i ludziom.

Koniecznienie chciała zanoćować w górskim schronisku. Pod Babią Górą zaoferowali jej miejsce na podłodze, za co grzecznie podziękowała, z maleńkim wzdrygnięciem obrzydzenia, wyobrażając sobie wędrujące po niej nocą karaluchy i inne paskudztwo. W Pięciu Stawach wolne terminy były dopiero w listopadzie. Już miała zrezygnować, gdy znajomy rzucił hasło schroniska w Beskidzie Małym, pod Leskowcem. Po dłuższym zastanowieniu i zapoznaniu się z trasami dojścia i zejścia zadzwoniła do schroniska. Pani zaproponowała miejsce w kilkuosobowym pokoju. Dla Julity nie miało najmniejszego znaczenia z kim będzie spędzać noc, ważne, że w ukochanych górach. Zarezerwowała łóżko, kupiła bilety na pociąg i już dwa dni później, o piątej rano czekała na peronie dworca kolejowego.

W pociągu natychmiast zasnęła. Obudził ją nie dźwięk budzika, który miał zadzwonić kilkanaście minut przed Krakowem, a głośnie rozmowy współpasażerów utyskujących na prawie godzinny przymusowy postój spowodowany awarią pociągu przed nimi. Wreszcie ruszyli, wszyscy byli ożywieni jakby najedli się szaleju, szczególnie ta młoda para w rogu przedziału. Dziewczyna miała na sobie białą, koronkową bluzkę z czarnym biustonoszem pod spodem, którą cały czas wpuszczała w spodnie, jakby tamta żyła własnym życiem i złośliwie z nich wyskakiwała. Wierciła się nieustannie, by zwrócić uwagę kochanka. On głaskał ją po plecach, masował łydki i ramiona, ścisnął wewnątrz ud. Pewnie pozwoliliby sobie na znacznie więcej, gdyby nie krępująca obecność pasażerów. Diabelskość widać było w jego zielonych, uwodzicielskich oczach, skrytych pod długim daszkiem czapki. *„Ach, ci młodzi. Nie znają umiaru, ani przyzwoitości!”* – pomyślała Julita.

Umyśliła sobie, że z Krakowa pojedzie do Andrychowa, aby stamtąd dłuższą pięciogodzinną trasą wdrapać się na szczyt Leskowca. Pech chciał, że dwa najbliższe autobusy odwołano, a kolejny miał być dopiero za godzinę. Nie chciała czekać! Wraz z poznaną na dworcu Emilką ruszyły na mały dworzec krakowskich busików. Akurat jeden odjeżdżał w stronę Wadowic. Wsiadły. Emilka okazała się rodowitą Wadowiczanką. Bardzo przyjazna duszyczka od razu zdobyła serce Julity, chyba z wzajemnością, bo rozmawiały, jakby znały się od dawna, odnalazły wiele wspólnych upodobań i pasji. Na wadowickim dworcu Julita złapała busik do Andrychowa i za niedługo była na miejscu. Teraz należało tylko znaleźć początek zielonego szlaku i gotowe, można zdobywać góry.

W sobotnie przedpołudnie było to jednak nie lada wyzwaniem. Informacja turystyczna zamknięta. Nabywani na ulicy przechodnie mówili każdy co innego i o chyba zupełnie innym szlaku - czarnym, zaledwie godzinnym, do którego trzeba było maszerować aż trzynaście kilometrów. Uznała więc, że jedynym sensowym rozwiązaniem jest taxi, taksówkarz na pewno będzie wiedział takie rzeczy. I rzeczywiście wiedział, pojawił się tylko problem zbyt wysokiej ceny. 50 złotych! Negocjacje trwały, kierowca był nieugięty, ona przejęta. Zszedł z ceny o dyszkę, a w czasie dłuższej pogawędki, o jeszcze jedną. Gdy wysiadła, doradził, że ma szukać panienki w lesie, bo przy niej zaczyna się zielony szlak. Julita uśmiechnęła

się na te dwuznaczne słowa. Szofer także.

Ruszyła w las lekka jak piórko, choć z ciężkim plecakiem. Było pięknie, cicho, spokojnie – tego szukała. Na rozstaju leśnych dróg stała panienka - Matka Boska w kapliczce przybitej do drzewa. Julita odmówiła zdrowaśkę za bezpieczną wyprawę i ruszyła w kierunku, w którym zmierzała dwójka turystów. Szła nieśpiesznie, szybko więc znikli jej z oczu. Wymieniała SMS-y z ulubionym, wielce żartobliwym poetą, którego poczucie humoru zawsze było strzałem w dziesiątkę. Był antidotum na całe zło świata i wszelkie smutki. Przystanęła przy śródleśnym poletku, gdzie lśniły w słońcu jeżyny. Były duże, słodkie, kuszące, objadła się nimi za wszystkie czasy. Maszerując, mijała panienki w lesie, każda była inna, każda uroczo skromna.

Na wzgórku „Panienki” przecinały się dwa szlaki – zielony i żółty. To tam zreflektowała się, że chyba poszła w złym kierunku. Zamiast wędrować ku szczytom, wracała do Andrychowa. Tę tezę poparła jeszcze grupka turystów z rozłożystą mapą. Zjawili się jak zesłańcy niebios, aby nawrócić ją na właściwą drogę. Poeta żartował, że zamiast jeżyn najadła się wilczych jagód, stąd halucynacje – panienki, nierozpoznanie otoczenia - zgubienie drogi i silne pobudzenie. Rozbawił ją tym do łez. Zjadła pyszną Eliteskę i zawróciła. Miała do nadrobienia godzinę. Minęła te same panienki, później pojawiły się nowe. Aż w końcu nadszedł czas morderczej mitręgi, wspinaczki na Gancarz – stromy szczyt nazywany przez niektórych Golgotą. Zdobyła go, wpierając się na sękatym kiju. Zziębnięta i spocona usiadła przy krzyżu, patrząc na panoramę, a po dłuższej chwili odpoczynku ruszyła dalej.

Z naprzeciwka zbliżały się ku niej inne panienki – siostrzyczki ubrane w szare, letnie habity. Przewodnikiem radosnego stadka był młody ksiądz. Szły, wspinając się i rozmawiając między sobą, czy podążają Babiej Górze. Coś w tej górze musi być, skoro wszystkie panienki tam dążą - te stanu wolnego i te poświęcone Bogu.

Malowniczy, mało-beskidzki szlak z każdym krokiem przybliżał ją do celu. Do schroniska! Gdy dotarła na miejsce, zrzuciła wpijający się w ramiona ciężki plecak i zamówiła zimne piwo oraz kwaśnicę. Po wysiłku schłodzone piwo jest ambrozją. Taką właśnie się raczyła, siedząc na zewnątrz budynku, z nogami opartymi o krzesło. Nie miała ochoty zrobić ani kroku więcej. Nawet ruszyć ręką. Chciała tylko siedzieć i saczyć w ciszy zimne piwo. W końcu zameldowała się, zostawiła bagaż w pustym czteroosobowym pokoju i udała na szczyt Leskowca. Prowadził ku niemu Szlak Buków - przepiękny, mroczny, tajemniczy gąszcz prastarych drzew i krzewów. W powietrzu czuć było magię, zapowiedź czegoś niezwykłego. Tą leśną ścieżką przyrodniczą wędrował przed laty Jan Paweł II, tutaj się zamyślał, planował swoją przyszłość, snuł marzenia...

Julicie udzielił się nastrój miejsca. Tędy prowadziła Droga Św. Jakuba, odcinek beskidzki prowadzący do Santiago de Compostella. Na Leskowcu był jej 3854 kilometr. Czytała to wszystko i zapamiętywała skrupulatnie, jako coś istotnego. Szczyt okazał się rozległym płaskowyżem, skąd roztaczał się widok na odległe, znacznie wyższe szczyty Tatr Zachodnich i Wysokich, Babiej Góry i Turbacza. Pełno tam było jagodowych krzewinek i jeżynowych zarośli poprzetykanych borówkową czerwienią. Ciszę miejsca zaburzał tylko delikatnie dmący wietrzyk i pokrzykiwania drapieżnego ptaka. Pewnie się bał, była tutaj intruzem.

Zmęczona położyła się na trawie i zapadła w drzemkę. Nikt jej nie przeszkadzał. Spała ponad godzinę. To miejsce było czarodziejskie dla turysty, dla pątnika, dla każdego spragnionego wytchnienia od męczącej codzienności. Świerszcze pięknie grały. Otworzyła oczy. Na podniebnym płaskowyżu brzozy jakby wyrastały spod ziemi. Siedzenie wrosło w trawę i nie pozwalało wstać. Nie chciała stamtąd odchodzić, ani

wracać do schroniska. Głód był jednak silniejszy. Zamówiła cokolwiek, byle szybciej i znów wyszła na dwór. Szlak białych serc ♥♥♥ zaprowadził ją do Sanktuarium na Groniu Jana Pawła II. „Totus Tuus – Cały Twój” – widniał napis nad świątynią ludzi gór. Miejsce było magiczne, papieskie, Julita całą sobą odczuła tę niezwykłość, wzniosłość...

Było ich trzech. Natychmiast to zauważyła, gdy ze szklanką piwa wtargnęła do pokoju. W pomieszczeniu było strasznie nadymione. Palili jakieś śmierdzące papierosy w takich firkach, jakich używał dziadek. Ostatkiem sił opadła na krzesło przy stole i małymi łykami popijała piwo. Milczała. Chłopaki, bo nie mogli mieć więcej niż po dwadzieścia lat, spojrzeli na siebie bez słowa. Ich trzech i jedna panienka.

- Chce pani zapalić? – ochoczo zaproponował ten najwyższy.

- Czemu nie – odparła, było jej wszystko jedno.

Dawno nie paliła, ale w tym momencie była tak natchniona, że i na papierosa się otworzyła. Wysoki podpałił go dla niej i wrócił na swoje łóżko. Zapanowało milczenie, nikomu jednak specjalnie nie przeszkadzało. Poprzez chmurę dymu Julita spoglądała na chłopaków. Mieli dziwne miny i zachowywali się tak, jakby na coś czekali. Papieros smakował jakoś inaczej, pewnie to kwestia dotlenienia i całodziennego przebywania na świeżym powietrzu, co w jej życiu nie zdarzało się często. Po wypaleniu skręta wpadła w stan otumanienia, nie wiedziała co się z nią działo. Słyszała ich jakby zza ściany. Mówili o jakiejś Maryśce. W kółko, Maryśka, i Maryśka. Ki lichu! Przecież nie przedstawiła im się ani jako Marysia, ani w ogóle... Nie dokończyła piwa, film jej się urwał.

Ocknęła się koło południa. Leżała w ubraniu na swoim łóżku. Chłopców już nie było. Kompletnie nie pamiętała jak zakończył się wieczór, ani jak trafiła do łóżka. Czy sama? Czy zanieśli ją? Czy...? Myśl przerażenia, ostra jak brzytwa, zaświtała w jej głowie! Ale przecież była ubrana, nic się nie zmieniło w tej kwestii. „*Nigdy więcej papierosów!*” – postanowiła sobie solennie – „*Skończyłam z tym, raz na zawsze!*”.

Zeszła na dół i zamówiła czarną kawę parzoną. Było pusto, turyści byli na szlakach, a przybysze z dołu korzystali z promieni słonecznych. Nie musiała nic pakować do plecaka, bo nawet się nie rozpakowała. Umyła tylko zęby i odświeżyła w łazience. Zaczęła schodzić do Wadowic niebieskim szlakiem oznaczonym nadrzewnymi mikro-panienkami. Szła powoli, bolała ją głowa. I gardło, od ciągłego odpowiadania na ‘Dzień dobry’ mijanych wędrowców. Ból prawego kolana był tak silny, że utykała, starając się go nie obciążać. „*Kiedy je nadwyrężyłam? Wczoraj podczas wspinaczki na Gancarz? A może wieczorem uderzyłam się w nogę od stołu? Był taki pokraczny, krzywy jakiś.*” – zastanawiała się Julita.

Gdy zeszła na dół do podbeskidzkiej wsi Ponikiew, na przystanku autobusowym przeczytała, że najbliższy bus będzie dopiero za dwie godziny. Nie miała wyboru, musiała wędrować o własnych siłach. Nie zdążyła jednak przejść kilometra, gdy tuż przy niej zatrzymał się niebieski samochód. Młody kierowca zapytał przez okno, czy dokąds ją podrzucić. Niebiosa czuwały nad nią i nad jej kolanem. Zgodziła się i wsiadła uradowana. Rozmowa była wartka i sympatyczna, podobnie jak jazda. Na wioskach i w podgórskich miasteczkach ludzie są naprawdę w porządku. Nie są pretensjonalni i pełni ignorancji jak w dużych miastach. Są otwarci i chętni do pomocy. Kierowca wysadził ją tuż przy wadowickim rynku. Podziękowała mu ze szczerym uśmiechem wdzięczności. Dopiero na chodniku dostrzegła swój rozsunięty rozpo-

rek. „*Ciekawe czy on też to zauważył?*” – pomyślała – „*Ale jakie to miało w sumie znaczenie...*”

Na rynku było tłumnie, niedzielnie, odświętnie. Elegancko ubrani mieszkańcy podążali do bazyliki na Mszę Świętą, a turyści chłodzili przy fontannie lub tkwili w kolejce do Muzeum Jana Pawła II. Wymęczona Julita, z wielkim plecakiem szukała odrobiny cienia w ten upalny dzień. Spoczęła w końcu w jakiejś kafejce. Zamówiła kawę i kremówkę. Będąc w Wadowicach, nie mogła nie skosztować papieskiego ciastka. Było mdłe, chyba nasączone alkoholem. Przereklamowane, nie smakowało jej. Kawa też taka sobie, z małą ilością pianki. „*I jeszcze to absurdalne serduszko!*” – pomyślała – „*Kto dzisiaj wierzy w miłość? To przecież archaizm. Najlepsze są związki bez miłości!*”

Ze złością wymieszała zawartość filiżanki, aby serduszko znikło jej z oczu. Wypiła duszkiem ohydny kwaśny napój, poobserwowała wymalowane wadowickie panienki i wstała. Czas na Muzeum! Miała wykupiony bilet na konkretną godzinę. Dobrze zaplanowany i wyreżyserowany godzinny spektakl wielokrotnie wywoływał łzy. Roniła je, ocierając oczy chusteczką. Zawsze miała ją pod ręką. A może to były objawy wczesnej ciąży? Płaczliwość i drażliwość. Tam wysoko w górach wszystko mogło się zdarzyć... A może muzealni przewodnicy byli tak wyszkoleni w mowie, aby manipulować uczuciami zwiedzających i indoktrynować im określone poglądy religijne i polityczne?

Zemdlona kremówką, wyżęta z łez i zmęczona upałem zawędrowała nad rzekę. Po drodze kupiła piwo w jakimś supermarkecie i patrząc na spokojny nurt, odpoczywała od nadmiaru wrażeń. Na trawie rozłożyła duży ręcznik kąpielowy, taki szybkoschnący z Decathlonu. Idealny na wyprawy turystyczne. Był śliczny, jaskrawozielony, jak jabłuszko.

Natenczas przechodził obok uroczy mężczyzna. Wysoki i chudy, miał kozią bródkę z wąsikami, a długie włosy związane z tyłu w kucyk. Nie wiadomo, czy skuszony kolorem ręcznika, czy nieco rozmemłaną i przyćmioną kurzem urodą Julity, zapytał, czy może się dosiąść. W okolicy był cały hektar wolnej murawy, a on akurat chciał usiąść obok niej, pod drzewem. Najpewniej chodziło o ten ręcznik. Faktycznie był kuszący, czyściutki, jak rajski owoc.

Zaproponował jej cygaro. Nie wiedzieć czemu, nie potrafiła mu odmówić. Jego zielone oczy działały na nią jak magnez, jak narkotyk. Rozmawiali swobodnie, jakby znali się od lat, a przecież byli sobie zupełnie obcy. Palili cygaro jak Indianie fajkę pokoju. Był to rytuał, w którym liczył się każdy wdech i wydech, każde spojrzenie, bez dotyku.

Spokojną wymianę myśli zaburzył nagle łysy skin w białych majtkach, który nagle wszedł do rzeki. Wraz w wielkim psem na smyczy. Tuż przed ich oczami. Szukał czegoś w przybrzeżnych trzcinach, machał nerwowo rękami, coś pokrzykując. Julitę bawiła ta scena, szczególnie łysność, białe slipy i wielki tatuaż na plecach. Zaczęła się śmiać. Nieznajomy z ręcznika napominał, by przestała. Usłuchała go potulnie. Może wiedział coś więcej o zwyczajach okolicznych mieszkańców. Niebawem do łysogo dołączył inny chłopak, dla odmiany z normalną fryzurą i dziewczyna z jeszcze większą ilością włosów. Szukali w rzece wódki. Zostawili ją, aby się schodziła. A ona wzięła i zniknęła! Dwie stowy spłynęły z nurtem rzeki.

Scena była komiczna. Julita tłumiała śmiech, z trudem kryjąc łzy rozbawienia, chowała się za plecami towarzysza. On siedział nieruchomo z miną stoika, nawet jeden mięsień nie drgnął mu na twarzy. Poszuki-

wacze mocnych wrażeń przeszukiwali rzekę, podobnie jak poszukiwacze złota na Alasce. Co i raz zerkali z podejrzliwością na samotną parę pijącą piwo, na wypchany plecak Julity. Byli dorośli, a zachowywali się jak dzieci. Ogarnął ich szal poszukiwań. Dla dwóch stów!

Nagle Julita przypomniała sobie, że musi zdążyć na pociąg z Krakowa, ale najpierw trzeba było się tam dostać. Tajemniczy Wadowiczanie, który nic o sobie nie powiedział, mimo usilnych nalegań z jej strony, podniósł się pierwszy i pomógł wstać. Kolano cholernie bolało pannę Kolanko! Wprost znad rzeki poszli na przystanek busików. Zanim wsiadła, Wadowiczanie przytulił ją mocno do siebie, a potem zniknął, tak nagle, jak się pojawił. Bez pożegnania.

„*Uroczy mężczyzna, pełen tajemnic. Uroczne popołudnie nad rzeką w oparach cygara...*” – pomyślała jeszcze Julita i typowym dla siebie zwyczajem zasnęła. W busie leciały stare, nostalgiczne przeboje. Przyjemnie trzęsło. Oddalała się od gór, wolnej przestrzeni i przygód. Sen trwał nadal w pociągu, na który zdążyła z czasowym naddatkiem. Krople deszczu na szybie tworzyły duet z miarowym stukotem żelaznych kół.

Ciekawe jaki las, w jakich górach przyśni się jej tym razem?

(wrzesień 2016)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Niczyja, dodano 24.09.2016 09:49

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.